

Kronika tygodniowa.

Ostatnią kroniką narobiłem sobie ambarasów. Nazwałbym to nawarzeniem sobie bigosu, boję się jednak, by władza nie pociągnęła mnie do odpowiedzialności za gwałcenie dni beztłuszczowych, kto bowiem go nawarzy, powinien go i zjeść, a łatwo zdarzyć się może, iż notatkę niniejszą właśnie w sobotę, gdy tłuszczów spożywać nie wolno, przeczyta pan cenzor od spraw żółdkowych. Poproś od samego czwartku nie zamykają się drzwi pokoju redakcyjnego, a listonosze wnieśli podanie do Dyrekcji poczt i telegrafów z prośbą o przyznanie im nadzwyczajnego dodatku na sprawienie sobie nowych podeszew, stare bowiem zdarli, nosząc stosy listów, przeważnie do kronikarza adresowanych.

Przedewszystkiem więc, już we czwartek popołudniu zgłosił się jakiś poważny, a elegancki jegomość, prosząc o chwilę rozmowy, ale w cztery oczy. Odpowiedziałem mu, że oczyma rozmawiać nie umiem, zresztą ściany pokoju redakcyjnego są również dyskretnie, jak i koszt redakcyjny. Co tam raz się dostanie, światła dziennego już nie ogląda, lecz „ginie w zapomnienia fali“. Gdy jednak bardzo się naprzykrzał, twierdząc, że sprawa jest natury bardzo delikatnej, ustąpiłem i udaliśmy się w sam kąt pokoju, pod piec, gdzie mogliśmy porozmawiać bez przeszkody.

— Pan łaskawy daruje — zaczął — że zabieram tu drogi czas, ale, jako człowiek, zajmujący się głównie polityką lokalną, chciałbym się koniecznie dowiedzieć, kogo pan miał na myśli, pisząc o owej magistrackiej rurze, która pękła.

— Kogóżby? — ja mu na to — Rurę!

— Oho! Mnie pan w pole nie wyprowadził! Ja wiem, że wy nibyto piszecie o rurze, a odnosi się to do osoby. Ja was znam! Ja sam miałem być dziennikarzem, ale okoliczności tak się jakoś złożyły, że dałem sobie spokój!

— A czy można się dowiedzieć, czem dobrodziej się zajmuje, pogardziwszy tak pięknym zawodem...

— Mam dwie kamieniczki...

— Więc kapitalista! W każdym razie pokrewny zawód. Obaj pracujemy nożyczkami, z tą tylko różnicą, że ja wycinam artykuły, a dobrodziej obcina kupony. Bardzo przyjemne zajęcie. Gotów byłbym się każdej chwili zamienić i to nawet zupełnie bezinteresownie, bez żadnej dopłaty.

— Wracajmy jednak do rury! Otóż, uważa pan łaskawy, ponieważ jestem, jak to wy powiadacie, kamienicznikiem, któremu magistrat ogromnie daje się we znaki, cieszę się zawsze, ilekroć czytam coś o naszych panach z autonomii. Zbieram nawet te artykuły i mam ich już sporą tekę. Gdy przeczytałem ostatnią pańską kronikę, zaraz sobie pomyślałem, że ta rura, to właściwie nie rura, ale tam ktoś siedzi... Czy mam rację?

— Nie! To całkiem ordynarna, najwyklesza żelazna rura o średnicy, jeśli się nie mylę, siedmiedzięciu pięciu centymetrów.

— Ja jednak nie wierzę! Myślałem nad tem już od samego południa, ale nic wymyślić nie mogłem!

— Aby to panu dobrodziejowi tylko nie zaszkodziło! Proszę być przekonany, że mówię szczerą prawdę.

— Nie, panie! W pole wyprowadzić się nie dam. Tkwi tam coś, ale co, tego dotąd nie odgadłem, jeśli jednak odgadnę, przyjdę tu z powrotem i wtędy powie mi pan, czy się nie omyliłem. Zegnam pana!

— Kłaniam uniżenie! — rzekłem głośno, w duchu zaś dodałem — Namysłaj się jak najdłużej, a mnie daj spokój. Szukaj sobie zresztą kogo innego, może ci wytłumaczy.

Drugim interpelantem był znowu obywatel, mający syna w jednym z tutejszych gimnazjów. — Chłopak przełazi wprawdzie z klasy do klasy, ale ile to tatę kosztuje... zdrowia. Mści się też na skórze swego przyszłego spadkobiercy i po każdej konferencji sprawia mu łaźnię, przy końcu kursu odbywa się „wielkie pranie“, naturalnie bez mydła. Chłopak gotów zrobić na tem interes, będzie kiedyś mógł występować jako fakir, który całkiem swobodnie siedzi na ławie, najeżonej gwoździemi, taką ma skórę w niektórych okolicach znieczuloną!

Otóż ów jegomość, przybywszy do redakcji, odsapnął i pyta:

— Mam przyjemność z samym panem kronikarzem, czy może z jego bratem nieboszczykiem?

— Sam we własnej osobie! — odpowiedziałem, wskazując na krzesło.

— Siadł i tak dalej ciągnie: —

— Pan kochany mnie nie zna?

— Nie mam przyjemności!

— To ciekawe! Bo i ja pana także nie znam!

— To dziwne!...

— Panie! Panie!... Coś pan narobił swą ostatnią kroniką...

— Cóż takiego? Może znowu rura?

— Zeby to rura! Ale, dyabła tam, coś gorszego. Mam, panie kochany, syna...

— To się zdarza w najpóźniejszej rodzinie...

— ...i ten syn, panie kochany, jest szelma ogromnie uczuciowy! Wrodził się we mnie!

— Tak być powinno! Do kogóż ma być podobny, jeśli nie do swego rodzonoego ojca?

— Otóż, uważa kochany pan, chłopak ciekawy jest, co słychać w świecie, czytuje też pilnie gazety, a zwłaszcza *Nowości ilustrowane*. Gdy czytał o owym wiecu w sprawie bojkotowania greki, sprzedał, kochany panie, nie tylko gramatykę grecką, ale i słownik łaciński i grecki, geometryę, wypisy polskie i niemieckie, słowem wszystkie książki, które lepiej są notowane na giełdzie antykwarskiej. Kiedyś pytam, gdzie książki, odpowiedział najspokojniej, że na Szpitalce, bo on nie myśli siedzieć tu beczynnie, więc kupuje karabin maszynowy, albo łódź podwodną i idzie w pole. Cybuch mam panie kochany i władam nim doskonale, byłbym mu też wybił z głowy te wojenne zachcianki.

— Głowa, dobrodziej, nie do tego stworzona! — przerwałem jego tyradę.

— Ja wiem! Lubię jednak wyrażać się obrazowo. Niech jednak skończą!... Otóż, co właśnie najgorsze, w międzyczasie dostał szelma dwie dwoje z greki i jest wykazany, bo profesorowie starają się, przeczytawszy także pańską kronikę, wpoić w uczniów przekonanie, że bez greki się nie obejdzie. Oświadczam więc panu kochanemu, że jeżeli mój otrok dostanie z greki na półrocze dwoje, winę musi pan sobie przypisać i zapłacić za niego czesne, bo ja nie myślę...

— A czyż to mój syn?

— Pański, nie pański! Ale w każdym razie ofiara pańskiej kroniki. Dostał już swoją porcję i myślę, że nie jest panu bardzo wdzięczny. Skończyłem. Zegnam pana ozięble!

Potem musiałem jeszcze wysłuchać wykładu naukowego trzech profesorów filologii klasycznej, którzy starali się mnie przekonać, że zwłaszcza greka jest jedynym przedmiotem, który człowiekowi może się kiedyś przydać w życiu przyszłym. Przekonywali mnie dowodami, że jedynie ci ludzie, którzy w gimnazjum greki sobie nie lekceważyli, doczekali się pogodnej starości. Wynik rozmowy był ten, że mój obowiązkiem jest odwołać uroczyste wyzkanie to, co przeciw grece napisałem. Obiecałem to uczynić i, skoro czas tylko pozwoli, zabiorę się do tego.

Nielada twardy orzech dostał mi się też do zgryzienia w sprawie „babiego lata“, o którym w poprzedniej kronice także wspominałem. Jak wiadomo zapewne Szanownym Czytelnikom, nazwano je „babim“, dlaczego jednak, sam nie wiem, charakterystyczną zaś jego cechą są pajęczyny, unoszące się w powietrzu. Słyszałem, że fabrykuje je pewien rodzaj pajaków, które siadają sobie na jakimś wystającym murze lub kamieniu, obracają się z pogardą odwrotną stroną medalu w stronę reszty świata i zaczynają snuć swą srebrzystą przędzę. Gdy jest jej już dość, taki pajacek siada sobie na tym własnej fabrykacji aeroplanie i jedzie... do narzeczonej.

Czy jednak zachodzi jaki związek między ową pajęczyną, a nazwą „babie lato“, tego dotąd nie zbadałem, zdaje mi się przecie, że jakowyś jest i że właśnie „babie“ lato ze względu na owe pajęczyny tak się nazywa, są one bowiem jego cechą charakterystyczną, tak samo, jak zwykłe pajęczyny świadczą o skrzętności i zamiłowaniu czystości gospodyni domu, u której panuje bardzo często także tak zwany „babski“ porządek.

W sprawie więc owej notatki o „babim“ lecie interpelowały mnie niewiasty, wyrzucając z goryczą, że znowu zaczynam wrogie okazywać usposobienie wobec drugiej płci, co zwłaszcza teraz, w czasie wojennym, miejsca mieć nie powinno. Wszak jedno z pism paryskich na pryncypalnym miejscu umieściło wezwanie do Czytelników i Czytelniczek, aby wzięły sobie do serca, iż w jakimś tam czasokresie liczba zgonów przewyższyła cyfrę urodzin przeszło o trzy tysiące! Przyznałem im zupełną rację i obiecałem solennie, że o „babim“ lecie, choćby nawet i nastąpiło, ani słowa więcej nie napiszę.

Ba! Człowiek cierpi jednak i za winy niepopelnione. Jedna ze znajomych niewiast zrobiła mi prawdziwie egipską awanturę, że tylko dzięki dziennikom pociągnięto ją do odpowiedzialności za niedotrzymywanie dni beztłuszczowych, choć ja byłem w danym wypadku niewinnym, jak nowonarodzone dziecko. Skrupiło się jednak na mnie.

W piątkowym, jeśli się nie mylę, numerze, pomieścił *Czas* wyjaśnienie, nadesłane z Ministerstwa spraw wewnętrznych, w sprawie używania tłuszczów w sobotę. Komunikat ów zdaje się źle przetłumaczono w Izbie handlowej, ogłoszono bowiem, że w sobotę wolno spożywać potrawy, które można smażyć na własnym tłuszczu, na przykład befsztyk i rozbratel.

Biedna kobiecina usłuchała, befsztyk jednak ani rusz nie chciał się bez tłuszczu usmażyć. Dodała więc masła, by się mięso nie zmarnowało, ale w tej samej chwili przybyła komisya i przyłapała ją na gorącym uczynku gwałcenia ustawy.

Właściwe brzmienie wyjaśnienia ukazało się dopiero w *Nowej Reformie* z niedzieli, iż „w sobotę wolno spożywać potrawy, które można smażyć we własnym tłuszczu, na przykład kotlety wieprzowe“.

Z tego wynika, że *Nowa Reforma*, aczkolwiek organ demokratów, więc ludzi, którzy obzarstwem nie grzeszą, posiada lepszego i bieglejszego referenta spraw gastronomicznych, niż *Czas*, dotąd zawsze pod tym względem prym wiodący. Ale dziś czasy się zmieniają. Arystokracja schodzi na psy, demokraci zaś porastają coraz bardziej w pierze i mogą sobie pozwolić na takie frykasy, jakich ongiś tylko obszarnicy i to nie bylejacy kosztowali.

Ta wążka kłopotów z ubiegłego tygodnia jest tylko małą częścią bukietu, jaki mi przypadł w udziale. Krzyż Pański, jaki mi się dostał, zniósłem jednak w spokoju, pewny, że co tu wycierpiałem, odliczonym mi będzie w życiu przyszłym.

Skoro dotąd ciągle tylko narzekam, niechże już cała kronika będzie nastrojona na tę samą nutę. Mam mianowicie urazę do krakowskiego Zarządu tramwajowego, iż w soboty i święta żydowskie nie wypuszcza na miasto tak zwanych „kupłówek“, wobec czego ludziska, zwłaszcza na linii Dworzec—Most Podgórski, gniją się, jak śledzie w beczce. Gdyby Dante żył za naszych czasów, byłby miał znakomity materiał do opisu drogi do piekła!

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że linia pierwsza wążkotorowa, wiodąca z głównego dworca kolejowego na stary most, jest najbardziej uczęszczaną. Kursują na niej stare wozy (*eo ipso* i konduktorki nie są młode), w których nieszczęśliwi podróżni cisną się niczem śledzie w beczce. O ile doczepiony jest drngi wóz, można się jeszcze jako tako pomieścić, w sobotę natomiast i żydowskie święta powinien jeździć tylko ten, kto za życia chce odpokutować za swe grzechy i w szacie niewinności dostać się na łono Abrahama.

Zwłaszcza w porze nadejścia pociągów, udawania się młodzieży do szkoły i powrotu z niej, dzieją się tu sceny, na których opisanie trudno się silić, bo... nie da rady! We wozie przynajmniej o trzydziści osób więcej, niż być powinno, konduktorka choćby najbardziej chuda nie jest w stanie precyzyjnie się, by skontrolować, czy każdy ma bilet. Nie dawno zdarzyło się, że pewien jegomość, chcąc się podrapać w kolano, w ścisku nie mógł znaleźć swej nogi i w najlepszej wierze wziął nogę swej sąsiadki za swoją. Niewiasta, aczkolwiek leciwa, pewna, że to zamach na jej cnotę, narobiła wrzasku, pasażerowie podzielili się na dwa obozy, jedni za, drudzy przeciw i niewiele brakowało, a byłiby może zlynchowali biednego, Bogu ducha winnego człowieka. Tłumaczył się, jak umiał, wreszcie udało mu się przekonać ogół, że nic złego nie miał na myśli.

A kto właściwie winien? Nikt, tylko dyrekcyja Spółki tramwajowej, która jest tego zdania, że w Krakowie jeżdżą tramwajami tylko żydzi, więc w soboty i żydowskie święta obejdzie się bez „kupłówek“. Wyjątek stanowi tylko linia druga, Rynek—Park Krakowski, gdzie podwójne wozy kursują przez cały tydzień, więc i w sobotę.

Należałoby więc zle usunąć. Sam na własne swe oczy stwierdziłem, że frekwencya w soboty i żydowskie święta nie jest wcale mniejszą, niż kiedy indziej, dla czegoż więc płacąca publiczność ma być narażoną na nieprzyjemności? W ubiegłą sobotę jechałem w porze południowej w stronę Podgórza i tak mnie we wozie uprasowano, że potem nie mogłem poznać, czy to ja, czy nie ja. Natomiast, jako człek miłujący prawdę, muszę stanąć w obronie konduktorek, na które pogniwał się niedawno korespondent *Krakauer Zeitung*. Na ogół są one bardzo grzeczne i należycie wypełniają swe obowiązki, niema przecie reguły bez wyjątku, więc i tutaj może się zdarzyć, że któraś z nich może być przez publiczność wytrąconą z równowagi, a publiczność ma czasem bardzo dzikie żądania. Cierpliwość nawet największa może się czasem wyczerpać, konduktorka, należąca do płci słabej, łatwiej ulega zdenerwowaniu niż przedstawiciele płci męskiej.

